

David Markson
Kochanka Wittgensteina

Przełożył i posłowiem opatrzył
Krzysztof Majer



Dla Joan Semmel

Jakaż to zadziwiająca przemiana, kiedy [...] do świadomości dociera fakt, iż wszystko zależy od tego, w jaki sposób się myśli, a zatem gdy myślenie w swej absolutności zastępuje pozorną realność.

Kierkegaard

Wciąż jeszcze wątpiąc w jego możliwości, poprosiłem o opinię G.E. Moore'a. Moore odpowiedział: „Mam o nim bardzo dobre zdanie”. Gdy spytałem, czym motywuje ten sąd, odparł, że na jego wykładach Wittgenstein jako jedyny wyglądał na zadziwionego.

Bertrand Russell

Z łatwością jestem w stanie zrozumieć, czemu dzieci kochają piasek.

Wittgenstein

Z początku zdarzało mi się zostawiać wiadomości na ulicy.

Ktoś mieszka w Luwrze, mówiły niektóre z nich. Albo w National Gallery.

Naturalnie mogły mówić coś takiego tylko wówczas, gdy byłam w Paryżu albo w Londynie. Ktoś mieszka w Metropolitan Museum, mówiły, kiedy jeszcze byłam w Nowym Jorku.

Oczywiście nikt się nie zjawił. W końcu przestałam zostawiać wiadomości.

Prawdę mówiąc, zostawiłam pewnie ze trzy, cztery, nie więcej.

Nie mam pojęcia, jak dawno robiłam to wszystko. Gdybym musiała zgadywać, zgadywałabym pewnie, że dziesięć lat temu.

Chociaż mogło to być jeszcze parę lat wcześniej.

No i oczywiście wtedy przez jakiś czas byłam całkiem szalona.

Nie wiem, przez jaki czas, ale przez jakiś.

Nie po kolei w głowie. Którego to zwrotu nigdy dobrze nie rozumiałam, a przynajmniej tak mi się teraz wydaje, gdy nagle przyszło mi go użyć.

Nie po kolei w głowie, bo oszalała czy nie pamięta?

W każdym razie co do szaleństwa raczej nie było wątpliwości. Na przykład kiedy wybrałam się samochodem w tamten turecki zakątek zwiedzić wykopalisko starożytnej Troi.

I z jakiegoś powodu najbardziej mi zależało, żeby zobaczyć rzekę, o której też czytałam, że płynie obok cytadeli aż do morza.

Nazwy rzeki nie pamiętam, ale okazała się multystym strumieniem.

A mówiąc o morzu, miałam tak naprawdę na myśli Dardanele, które nazywano kiedyś Hellespontem.

Nazwę Troi też oczywiście zmieniono. Na Hisarlik.

Pod wieloma względami byłam rozczarowana, bo wykopalisko jest zadziwiająco małe. Niewiele dłuższe od zwykłej przecznicy, a wysokie na kilka pięter, praktycznie rzecz biorąc.

Za to z ruin widać górę Idę, chociaż dzieli je wielka odległość.

Była późna wiosna, lecz na szczycie góry leżał śnieg.

Ktoś z tych starych opowieści wspinał się tam chyba, żeby umrzeć. Być może Parys.

Chodzi oczywiście o kochanka Heleny. Ranionego gdzieś pod koniec tamtej wojny.

Zwiedzając Troję, myślałam właściwie przede wszystkim o Helenie.

A przez pewien czas, jak właśnie miałam dodać, marzyłam nawet, że na brzegach wciąż stoją greckie okręty.

Cóż, marzyć o czymś takim byłoby rzeczą całkiem niegroźną.

Z Hisarliku nad wodę piechotą jest może godzina drogi. A na drugą stronę planowałam przeprowić się zwykłą łódką i potem ruszyć samochodem w głąb Europy, przez Jugosławię.

To znaczy chyba przez Jugosławię. W każdym razie na drugim brzegu są pomniki żołnierzy, którzy zginęli tam podczas pierwszej wojny światowej.

Z kolei na brzegu trojańskim można znaleźć pomnik w miejscu, gdzie pochowano Achillesea, chociaż było to znacznie dawniej.

A przynajmniej twierdzi się, że pochowano tam Achillesea.

W każdym razie niezwykle wydaje mi się fakt, że młodzi mężczyźni ginęli tam na wojnie tak dawno temu, a potem znów, trzy tysiące lat później.

Tak czy owak, zmieniłam wówczas plany co do przekraczania Hellespontu. A raczej Dardaneli. Wyszukałam sobie motorówkę, żeby minąć greckie wyspy i dotrzeć do Aten.

Chociaż za mapę służyła mi kartka wyrwana z atlasu, do Grecji dotarłam raptem w dwa niespieszne dni. Co do wielu aspektów tej antycznej wojny z pewnością znacznie przesadzano.

A jednak czasem, pod wpływem tego czy owego, zagra w człowieku właściwa struna.

Na przykład gdy nazajutrz, a może dwa dni później, ujrzałam Partenon w późnym popołudniowym słońcu.

To było chyba tej zimy, kiedy mieszkałam w Luwrze. Pałac artefakty i ramy obrazów, żeby się ogrzać, a wszystko to w sali ze złą wentylacją.

Ale później, wraz z pierwszymi oznakami odwilży, zmieniając auta, jak tylko kończyła się benzyna, ruszyłam z powrotem do domu przez Rosję Centralną.

To wszystko bez wyjątku prawda, nawet jeśli, jak już mówiłam, zdarzyło się dawno temu. I nawet jeśli, jak już również mówiłam, bardzo możliwe, że byłam wtedy szalona.

Z drugiej strony wcale nie mam pewności, czy byłam szalona, jadąc wcześniej przez Meksyk.

Choć może tak. Jadąc na grób dziecka, które straciłam, jeszcze dawniej, i które miało na imię Adam.

Czemu napisałam, że miało na imię Adam?

Simon, tak miał na imię mój chłopczyk.

Nie po kolei w głowie. Czyli że można nawet na chwilę zapomnieć imię jedyne dziecko, które miałooby dziś trzydzieści lat?

Trzydzieści chyba nie. Dwadzieścia sześć, powiedzmy, albo dwadzieścia siedem.

Czyli ja mam pięćdziesiąt?

W tym domu na plaży jest tylko jedno lustro. Według lustra może i pięćdziesiąt.

I według dłoni. Po ich wierzchach już widać.

A jednak wciąż miesiączkuję. Nieregularnie, i często trwa to całymi tygodniami, a potem tak długo nic się nie dzieje, że niemal zapominam.

Być może mam góra czterdzieści siedem, czterdzieści osiem lat. Na pewno już kiedyś próbowałam to z grubsza oszacować, bodaj licząc miesiące, a przynajmniej pory roku. Ale nawet nie pamiętam, kiedy do mnie dotarło, że już dawno straciłam rachubę.

Aczkolwiek jestem przekonana, że gdy to wszystko się zaczęło, zbliżałam się do czterdziestki.

Tamte wiadomości malowałam białą farbą. Wielkie drukowane litery na skrzyżowaniach, więc gdyby ktoś jechał w tę czy drugą stronę, toby je zauważył.

W Metropolitan Museum też oczywiście paliłam artefakty. I nie tylko.

Zimą przez cały czas paliłam tam ognisko. Ale nie takie jak w Luwrze. W Metropolitan paliłam je w westybulu, tam gdzie się wchodzi i wychodzi.

Skoro o tym mowa, skonstruowałam też nad ogniskiem wysoki blaszany komin. Żeby dym leciał prosto do świetlików, znajdujących się jeszcze wyżej.

W tych świetlikach musiałam wystrzelać dziury, gdy już był gotowy komin.

Z pistoletu, stojąc na jednym z balkonów. Musiałam uważnie celować, i to pod kątem, by dym się ulatniał, a deszcz nie leciał do środka.

I tak leciał do środka, ten deszcz. Nie jakoś bardzo, ale trochę tak.

Potem zaczął też lecieć innymi oknami, kiedy szyby popękały same z siebie. A raczej od pogody.

Szyby wciąż pękają. Tu, w tym domu, popękało kilka.

Chociaż teraz jest lato. I nie żeby deszcz mi przeszkadzał.

Z piętra widać ocean. Tu na dole zasłaniają go wydmy.

Właściwie jest to mój drugi dom na tej plaży. Pierwszy doszczętnie spaliłam. Wciąż nie jestem pewna, jak to się stało, chociaż niewykluczone, że w trakcie gotowania. Dosłownie na chwilę poszłam na wydmy zrobić siku, a kiedy się odwróciłam, wszystko stało w płomieniach.

Te domy na plaży są oczywiście całe z drewna. Mogłam jedynie usiąść na wydmie i patrzeć, jak się pali. Płonął całą noc.

Spacerując rankami wzdłuż plaży, wciąż zwracam uwagę na spalony dom.

Rzecz jasna to, na co zwracam uwagę, nie jest domem, tylko szczątkami domu.

Skłonni jesteśmy nadal myśleć o domu jako o domu, nawet jeśli nie za wiele z niego zostało.

Ten obecny, muszę przyznać, trzyma się całkiem nieźle. Kiedy znów spadnie śnieg, będzie to już chyba trzeci raz, odkąd tu mieszkam.

Być może powinnam sporządzić listę innych miejsc, w których byłam, nawet jeśli nikomu poza mną się to nie przyda. A więc najpierw stare poddasze w SoHo, jeszcze przed Metropolitan Museum. I później te wszystkie podróże.

Chociaż z pewnością i tu już straciłam rachubę.

Pamiętam jednak, że któregoś ranka siedziałam w aucie z kierownicą po prawej stronie, patrząc, jak Stratford-on-Avon znika pod warstwą śniegu, co na pewno należy do rzadkości.

I jeszcze że tej samej zimy prawie potrafił mnie samochód, w którym nikogo nie było, pędzący w dół wzgórza, niedaleko Hampstead Heath.

Jest pewien powód, dla którego ten samochód, w którym nikogo nie było, pędził w dół wzgórza.

Powodem jest, rzecz jasna, wzgórze.

I też miał kierownicę po prawej stronie. Chociaż to akurat może nie mieć zbyt wiele do rzeczy.

Tak czy owak, być może minęłam się z prawdą, opowiadając wcześniej o zostawianiu na ulicy wiadomości, że ktoś mieszka w National Gallery.

Gdyż w Londynie nie mieszkałam wcale w National Gallery, tylko w Tate Gallery, gdzie jest tyle obrazów Josepha Mallorda Williama Turnera.

Z dużą dozą pewności mogę stwierdzić, że mieszkałam w Tate.

I też miałam swój powód. Taki mianowicie, że widać stamtąd rzekę.

Mieszkając w pojedynkę, człowiek łąnie do widoku wody.

Ale też zawsze zachwyciałam się Turnerem. Właściwie decyzję podjęłam być może po części ze względu na jego obrazy przedstawiające wodę.

Pewnego razu Turner kazał się na kilka godzin przywiązać do masztu, gdy szalał sztorm, żeby móc potem ten sztorm namalować.

Oczywiście nie sztorm zamierzał Turner namalować, tylko wyobrażenie sztormu.

Zauważyłam, że język często jest pod tym względem nieprecyzyjny.